

Rafał Pokrywka

Via Alpina

FATUM PRZEZ DUŻE F (DANIEL KEHLMANN)

Wracam do Kehlmana, który w roku 2013 objawił się z nową powieścią. Gwoli przypomnienia: niedoceniany, niezauważony, nagle gwiazda sezonu, kilku sezonów, ilość sprzedanych egzemplarzy powieści *Rachuba świata* (2005) mierzona w milionach, podobno wciąż rośnie. Po niej przychodzi *Sława* (dosłownie i nie, tak bowiem zatytułowane kolejne jego opus), jak również niezbędne w takiej sytuacji, okolicznościowe, chciałyby się rzec, eseje i przemowy wydane w dwóch tomach, potem kilka lat milczenia. Nowa proza Kehlmana to enigmatyczny tytuł *F*, wybitnie nieciekawa okładka i mało obiecująca fabuła. Kto zadał sobie trud obejrzyć książkę – przedmiot i przeczytać blurba, skreśli ją z miejsca, nawet jeśli nie będzie ekspertem od rynku. Kehlmann może jednak pozwolić sobie na ekstrawagancję i całe lata wakacji. Kehlmann może teraz pisać, co mu się podoba. Widać tę wygodę w powieści, a o tym, czy wyszła jej na dobre, czy nie, sporo już powiedziano w atmosferze premiery, ferowanie wyroków dzisiaj byłoby więc mało pożądane. Skupmy się w zamian nad miejscem tajemniczego *F* w alfabecie Kehlmana, którego początek wyznacza w roku 1997 niespełniony matematyk-magik Beerholm.

Struktura powieści to magia liczb. Wstęp, trzy rozdziały prowadzone przez trzech różnych narratorów, w środku ekskurs – opowiadanie *Rodzina*, rozdział końcowy przełamany w triadę, spisany z trzech różnych perspektyw. Trójca rządzi tym tekstem nie bez powodu. Oto wgląd w doświadczenie trzech braci, jakże różnych, w tym samym momencie przelane na papier, zwykle-niezwykłe kilka dni, podczas których waży się ich los. Tutaj pierwszy ukłon w stronę twórcy – każdy rozdział napisany jest w indywidualnym stylu narratora, czy to w niezdarnym żargonie religijno-biznesowym, czy to w słowotoku światłego konesera sztuki. Nieuniknione skojarzenia z *Wściekłością i wrzaskiem* Faulknera i jego polifoniczną metodą. Te same wydarzenia naświetlone z różnych perspektyw nie tracą na klarowności, odsłaniają przy tym nieodgadnione wcześniej fasety. To przeplatanie się epizodów, z których każdy dopowiada coś nowego do poprzednich, znamy już z *Ruhm* (Sławy), gdzie było przecież aż dziewięć różnych historii, każda uwikłana w pozostałe. Jednak o ile *Ruhm* sprawiało wrażenie dowcipnej wprawki warsztatowej z mało oryginalną puentą („wszyscy jesteśmy bohaterami opowieści”), tutaj umiejętności opowiadacza służą wyższej sprawie: odkryciu systemu rządzącego przypadkami życia ludzkiego, zwanego losem.

To „pradawny” Kehlmannowski motyw, przezierający i tutaj przez naracyjną wirtuozerię i soczyste dialogi. Coś przecież musi być w tym chaosie, coś

musi rządzić wszechświatem, skoro rzeczy istnieją, a równie dobrze mogłyby nie. Dobrze, że na końcu książki autor wprowadza kilkunastoletnią Marie i każe jej wypowiedzieć te słowa, w ustach dorosłego mogłyby bowiem banalnie zazgrzytać. Kehlmann nigdy nie napychał ust swych postaci zbędnymi aforyzmami, tak jest i tutaj, aż niepewność bierze, czy o to na pewno chodzi w tym tekście, ułożonym w trójki jak mistyczna jakaś księga. Sporo tu wprawdzie tematów nowych, chociażby rodzina, czego dotychczas u niego nie było, zmiany pokoleniowe, pamięć kolektywna, rzeczy jakże modne w literaturze niemieckojęzycznej ostatniego dziesięciolecia, ale jest przecież i Kehlmann stary, znany z *Rachuby świata*, autoironiczny, każący czytelnikowi patrzeć sobie na ręce i przepytować każde zdanie z prawdomówności. Utwierdza swoją pozycję kuglarza, zaplątuje się w fałszerstwa i symulacje, w lustrzane odbicia, wśród których prawda jest czymś w rodzaju niespełnionej obietnicy.

Pierwszy brat – niewierzący ksiądz, udający księdza właściwie, który sens świata skłonny jest ujrzeć prędzej w zawłościach kostki Rubika niż w ciemnym wnętrzu tabernakulum. Trwa w swojej obłudzie. Drugi – szef wielkiej firmy, od pewnego czasu świadom jej nieuniknionej katastrofy, żyjący w dwóch wymiarach, tym „prawdziwym” (jest szefem wielkiej firmy) i tym, w który prowadzą go jego lekarstwa i lęki, podziemnym królestwie mrocznych wizji i omenów. Doznaje religijno-biznesowego obłądzenia. Trzeci – bliźniak drugiego, znawca i mecenas malarstwa, zbijający fortunę na obrazach pseudoawangardowego artysty, które w rzeczywistości maluje sam. Ginie w „fatalnej” ulicznej bójce. Nad nimi ojciec, porzucił wprawdzie swoje dzieci w jakimś momencie objawienia na środku ulicy, jakiś czas potem został jednak wybitnym, wybitnie poczytnym i nadzwyczaj tajemniczym autorem powieści z drugim i trzecim dnem, których lektura przywodzi czytelnika do zwątpienia we własne istnienie. Autor *Rodziny*, centralnego rozdziału powieści Kehlmana, w którym dowodzi, że miał wielu przodków, a życie każdego z nich miało tylko jeden cel – jego samego, pisarza, który nie przyszedłby na ten świat, gdyby w wieloletniej przeszłości własnych dziadów coś poszło inaczej niż poszło.

F to historia fałszerstw, dwu- i trójlicowości, udawania, zwodzenia i mistyfikacji. Brak jej puenty. To jest trudne do zniesienia – na końcu nie dostaniemy klucza do systemu, który (założmy) rządził losem braci F., nie doświadczymy katharsis objawienia, bo jedyne objawienie dane jest (prawdopodobnie) obłąkanemu byłemu szefowi wielkiej firmy, zniecka urzeczonemu przez opatrność oraz moc świętej spowiedzi, i to wbrew zdroworozsądkowym protestom swojego brata, księdza. Nie wybawi nas moc sztuki, ta bowiem jest zabawką rynku, łasa na nazwiska i rankingi sprzedaży, ginie w osobie brata-artysty z nożem w brzuchu, niestety nie jest to manifest futuryzmu. Niepojęte wykresy i statystyki ekonomiczne szeszają w ogniu równie niepojętego światowego kryzysu, tomistyczny gmach wiary chrześcijańskiej zrujnują najmniejsze nawet podszepty nowoczesnego rozumu. Po raz kolejny zatem ofiary własnych złudzeń. Znamy już takich, którzy zawierzili nauce (*Mahlers Zeit*), religii i magii (*Beerholm przedstawia*), geniuszowi jednostki (*Rachuba świata*),

którzy w poszukiwaniu nadludzkiego i beczasowego porządku zabrnęli w auto-negację, rozpacz, obłąd, w końcu samobójstwo. Tym razem mamy postać nową: księdza, który nie wierzy, ale urządził się jakoś w tym świecie, natarczywe pytania o wątpliwe dogmaty zbywa słowem „misterium” i wieńczy powieść Kehlmann autoironicznym: „A teraz wyznanie wiary”.

Najtrudniejsze jednak w tej książce jest, że nie wiemy, czy on tak serio. Dotychczas Kehlmann był piewą takich czy innych sensów, literacko subtelnym na tyle, by wzbudzić cmokanie wytrawnych elit, w swoim kasowym dziele wziął się za bary z powieścią historyczną (to zawsze da się jakoś uładzić), później szarżował na powieść epizodyczną i już tutaj był autotematyczny, lecz krasił to wszystko esejami na cześć opowieści, wobec której twórca to mały sługa, nie wie, gdzie ślepe pióro go poprowadzi itd. I to dało się znieść, bo znaleźliśmy, chociażby z Grassa, niewolnika własnych utworów. Zawsze przychodziło jakieś rozwiązanie, nawet jeśli była to kafkowska furta do zamku bez prawa wstępu. Ale to było coś, staliśmy nagle przed (nomen omen) misterium, i to poręczne słowo załatwiało sporą część zmagani interpretacyjnych. Nie wiem teraz, czy *F* to dzieło niedokończone, nieudane, bo bez tego *momentum*, bez ciężaru, czy może Kehlmann już tak subtelny, że go nie pojmujemy. Naraża się na niezrozumienie, widać, że chce coś powiedzieć (chyba), wychodzą mu spod pióra udane warsztatowo narracje, ale one tylko dociągają ten węzeł, brak tu ostrza, który by je przeciął, być może nawet (wybacz Kehlmannie) brak tu jakiejś przasnej aforystyki w stylu: „Takie oto jest życie – niepojęte i niezmierzone”, którą można by było zaaplikować w ostatnim, podzielonym na trzy rozdziale, poetycko i niezrozumiale zatytułowanym *Pory roku*. Właśnie, czego nie na cztery? I co właściwie ten tytuł ma oznaczać, gdzie tu wyzwolenie?

Trochę tam aluzji do Maxa Frischa. Ojciec-pisarz debiutuje powieścią *Mein Name sei Niemand* (Por. Frischa *Mein Name sei Gantenbein* – polski tytułu *Powiedzmy Gantenbeim*), w której zanik osobowości, tożsamość itd. A więc problemy Frischowskie. Nie wiem jednak, czy Kehlmann idzie choć krok dalej niż jego poprzednik. Jeśli pobudką do napisania *F* było ukazać życie ludzkie uwięzione w relacji przypadek – przeznaczenie, to zrobił to, lecz na tym koniec. Tak jak u Frischa w *Homo faber* nie wiemy do końca, co jest siłą sprawczą – przemiany protagonistów są fascynujące, podobnie ich rozważania nad rolą przypadku w życiu człowieka i losem wykuwanym gdzieś w niebiosach. Brak tu jednak klarowności. To prowadzi tylko do zwątpienia we wszelkie systemy (religia, matematyka itd.), którym życie indywidualne i pojedyncze zawsze mniej czy bardziej się wymykało, i w końcu zostajemy z pustymi rękami. Ginie gdzieś ta „czytelność wszechświata” (*Die Lesbarkeit des Universums*, to z *F*), która mogłaby być ratunkiem, mało tego – przepada patos obcowania z misterium, którego nie brak było u Kehlmanna wcześniejszego, teraz unicestwionego przez finałową ironię.

Gdy trwoga, to do biografii, tak radzono sobie z Kafką i jego paradoksalnym motywem winy („założmy, że to przez ojca”), tak i dzisiaj prywatne usadowienie autora w tu i teraz ma moc arbitralną w przypadkach spornych. Odwołajmy się za-

tem do biografii pisarza. Twierdę, że Kehlmann chce zniknąć. On ma dość sławy i studiów strukturalnych pochyłonych nad jego książkami aptekarzy literackich, na których tak się cieszyli Joyce czy chociażby Eco. Klasyfikacje i klucze interpretacyjne muszą być na dłuższą metę męczące, jeśli nie pisze się powieści w kształcie ciasteczka z wróżbą. Te wielokrotne zasłony, autoironiczne i autotematyczne odbicia (*vide* ojciec-pisarz udrapowany sławą po latach literackiej mitręgi), brak zakończenia i wyszlifowane na oślepiający połysk umiejętności warsztatowe – to wszystko zdaje się mówić: potrafię już wszystko, mogę z wami grać, ile zechcę, poza tym mam coś do powiedzenia, ale nie powiem. Gdzieś tam na kartach *F* przebija się tęsknota za anonimowością w sztuce, gdzie nie liczy się nazwisko, lecz dzieło, jak w średniowieczu, tak cudownie wolnym od obsesji nazywania i marki. Być może Kehlmann chciałby zniknąć jak jego bohater literat, z nieprzeniknionych mroków publikujący kolejne bestsellerowe powieści, o nazwisku wybitnie nieznaczącym, bo nieskażonym żadnym wywiadem, zdjęciem i nagrodą literacką, a co najważniejsze – niemożliwy do zaszufladkowania, tworzący oryginalnie, mylący tropy, ośmieszający potencjalne konteksty.

Jakoś tak lektura *F* zbiegła mi się w czasie z powrotem do wczesnych esejów Austriaka, w których jeszcze jest dumny ze sławy i dokonanych na historycznych postaciach zabiegów fikcjonalizujących. Tam mienił się wiernym sługą narracji, wędrującej swoimi ścieżkami, i bronił przed zarzutami przekłamania. Dziś jest już inaczej, skoro z falsyfikatów uczynił swój oręż, do prawd historycznych już nie sięga, a głosem sprawiedliwego obdarza swojego Epikura-anonima, wygodnie żyjącego pośród książek w samotnym domu nad jeziorem, z dala od wszystkiego, przede wszystkim zobowiązań i odpowiedzialności. Pisarz to jedyna nieobarczona ironią postać w powieści – uniknął fałszu, bo się schował i nie dał się poznać. W scenie, w której oprowadza wnuczkę po galerii, nakazuje jej wpatrywać się w obraz przedstawiający statek na morzu wiozący, nie wiedzieć czemu, *Trwałość pamięci* Dalego, być może to jednak bez znaczenia, skoro:

Podeszła jeszcze bliżej i natychmiast wszystko zniknęło. Nie było już ludzi, żadnych chorągiewek, kotwicy i krzywego zegara. Było tylko kilka kolorowych plam powyżej pokładu statku. W wielu miejscach przebijała biel płótna i sam statek był również tylko zbieraniną kresek i kropek. Gdzie się wszystko podziało?

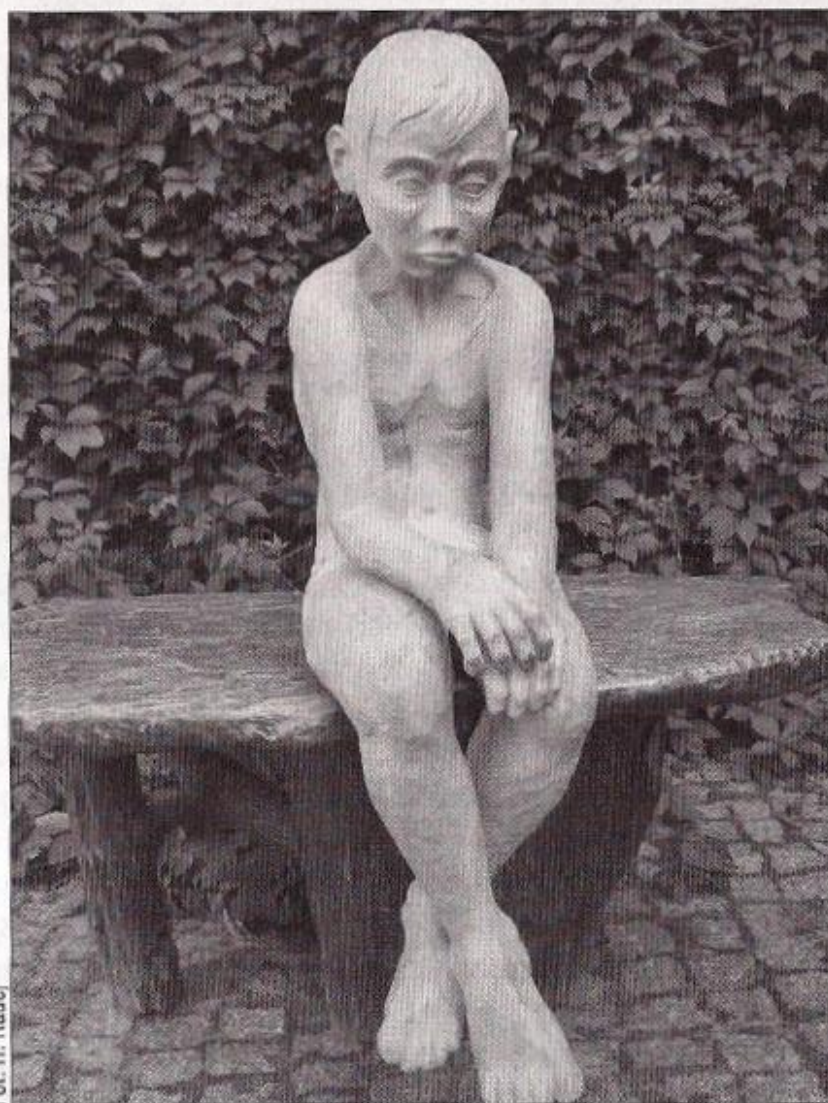
Odeszła do tyłu i wszystko złożyło się na powrót: statek, bulaje, ludzie, chociaż dopiero co widziała, że tego wszystkiego nie było. Jeszcze jeden krok w tył i teraz jakby obraz mówił do niej, że nie ma nic wspólnego z tym, co pokazuje. Przesłanie, które tkwiło raczej w jasności, w bezkresie wody, bądź w tym, jak statek nikał w oddali¹.

Być może puentą powieści jest, że malarze bardziej zainteresowani są malowaniem malowania, niż tym, co na obrazie, ale właściwie trudno powiedzieć.

¹ D. Kehlmann, *F*, Reinbek bei Hamburg 2013, s. 364 [tłumaczył Rafał Pokrywka].

Jest coś dziwnego w fakcie, że lektury ostatnich powieści Pawła Huellego *Śpiewaj ogrody* i Wiesława Myśliwskiego *Ostatnie rozdanie* nasuwają podobne skojarzenia. To również mistrzowie niedopowiedzeń, lecz przecież tym książkom zabrakło ciężaru, charakterystycznego dla ich poprzedników. Być może tak pisze się wielkie dzieła. Być może naprawdę poważne diagnozy muszą pozostać nieoczywiste. Niewykluczone, że o to właśnie chodzi.

Rafał Pokrywka



Fot. H. Radziej

Świdryga z Ulicy Poetyckiej, praca uczniów Zamojskiego Liceum Plastycznego,
Zamość, 30 sierpnia 2014 r.